

Gemma Bellincioni.

Gemma po włosku znaczy klejnot; Bellincioni od *bella* wypadłoby po polsku coś niby Pięknicka, Ładnowska — a już co najmniej Miłowska... Owoż tedy: pięknym klejnotem nazywa się ta śpiewaczka, zachwycająca dziś świat cały obok Kochańskiej, Arnoldsohn i innych gwiazd operowych, pierwszorzędnym świecącym blaskiem na horyzoncie belcantu.

Czy jest ona naprawdę klejnotem w znaczeniu doskonałości artystycznej? Stanowczo — tak. Nie było dotąd odmiennego zdania krytyki. To klejnot prawdziwy, o brylantowym blasku, klejnot czystej wody, oszlifowany kunsztownie... Kto ją widział na scenie — nie zapomni nigdy tych skry rzucających oczu, tej gry skończonej, odkradzionej wprost z natury; nie zapomni tej werwy, kokieteryi, grozy i tysiąca innych odcieni duszy kobiecej, tej duszy, w interpretacji pani Gemmy nieledwie „nagiej“ w swojej nieskazitelnej prawdzie!

Nawet głos, tę, jak dotąd uważano, jedyną, największą zaletę śpiewaczki — nawet owo *bel canto* dla którego piękności Włoch



wszystko inne poświęci — Bellincioni z całą bezwzględnością, jak w *Carmen* naprzykład, aż do brutalności w niektórych momentach posunięta, podporządkowuje grze, zawsze i nade wszystko hołdując absolutnej prawdzie w odtworzeniu postaci.

To też klejnot ten za... duży jest w oprawę estradową! Trywialnie się wyrażając „nie pasuje“ do małej sali, do dyskretnego akompaniamentu fortepianowego; bez szminek(?), peruk i efektownych kostymów, nadzwyczajny talent tej artystki zaledwie w połowie wywołuje tyle wrażenia, co w operze... Bądź co bądź — nie przestaje być klejnotem.

Czy jednak ta „gemma“ jest przytem „bella“? To kwestya — nierozstrzygnięta, choć, co prawda, mniejszej wagi w rzeczach sztuki. Oczy może za duże, nos ostry, budowa... mniej stylowa — ba! jak zwykle: rzecz to gustu... Niech sobie Szanowny Czytelnik, który nie miał „szczęścia“ widzieć jej na koncercie Tow. muzycznego, wyrobi o tem zdanie, patrząc na obok stojącą podobiznę, nawiasem mówiąc, nawet pochlebną cokolwiek... Trudno! gieniusz mieszka zawsze w pięknej duszy — o cielesną powłokę nie dba miejscami!...

TAJEMNICZA WILLA

(Z opowiadań włamywacza na tle prawdziwych zdarzeń).

Z angielskiego przełożył

KAZIMIERZ E.

6

(Ciąg dalszy)

— To będzie zależeć od naszego porozumienia się, a sądzę, że panu będzie u mnie tak dobrze, wygodnie i przyjemnie, iż chętnie pozostaniesz tutaj i z żalem mnie kiedyś pożegnasz!...

— Ha! — zawołałem zdecydowawszy się ostatecznie — trzymam się zasady „raz kozie śmierć“ a myśląc, że pan nie bierzesz mnie na kawał i nie chcesz mnie oszukać, przystaję na pański warunek! Niechże moja krew uratuje życie twej córki!

— O! — zawołał z radością tajemniczy starzec — widzi pan, że przecież zdołaliśmy się pogodzić! Ale zanim Franciszek przygotuje panu pokój, poddasz się operacyi, bo moja biedna córka dzisiaj, więcej niż kiedyindziej potrzebuje tego ożywczego płynu! Chodźmy więc! Chodźmy!...

Wstałem z fotelu, aby pójść za tym tajemniczym starcem, ale zanim wyszedłem, jeszcze raz spojrzałem na biedne blade jak płótno dziewczę, spoczywające niby bezduszny trup, na sofie.

Więc to moja krew ma ją przez czas jakiś utrzymać przy życiu? — pomyślałem — dobrze! niech ją utrzyma! nie będę żałować jej, byleby tylko to biedne a tak piękne dziecię odżyło, byleby mógł choć raz spojrzeć w oczy tej dziewczyny i wyczytać w nich cichą podziękę za moje poświęcenie!...

Ale... ale... — myślałem dalej — czy to dziewczę naprawdę jest córką mojego tajemniczego starca, czy może łączy ją z nim jakiś inny stosunek?!...

Nad tem pytaniem nie miałem już czasu zastanawiać się dłużej, bo tajemniczy starzec szepnął sługaczemu kilka słów i skinął na mnie.

Pospieszyłem za nim i wszyscy trzej: to jest ja, starzec i służący przeszedłszy przez kurytarz stanęliśmy przed pięknie rzeźbionymi dębowymi drzwiami na których złocił się napis:

Artibus et litteris.

Starzec nacisnął klamkę i stanęliśmy w progu komnaty widnej, czystej, urządzonej z przepychem, ale wielce przypominającej salę operacyjną w klinikach stołecznych.

— Proszę! — rzekł do mnie starzec, stając w pośrodku — proszę! bądź pan łaskaw spocząć tu na tem krześle! Franciszku, pomóż panu zdjąć surdut!...

Franciszek szybko ściągnął ze mnie pachnącą jeszcze kłajstrem marynarkę i posadził mnie na krzesło wielce przypominające operacyjne fotele u dentystów, poczem zawinął mi rękawy u koszuli.

Zaledwie ukazało się z pod koszuli moje nagie ramię, starzec z błyszczącymi radością oczyma podszedł ku mnie ze skalpelem w rękę.

Nie namyślając się, nie patrząc nawet na mnie, zajęty jedynie operacyą, jakiej miał dokonać, podniósł moje ramię i zanurzył ostrze noża w moim ciele... Krew trysnęła strumieniem do wielkiej srebrnej miednicy, którą trzymał służący.

Zrazu patrzałem z ciekawością na ten strumień krwi silywający do miednicy, ale niebawem uczułem, że słabnę. Mimo wszelkich wysiłków powieki poczęły mi się kleić, głowa zwisnęła mi na piersi. Z każdą niemal sekundą traciłem siły, stawałem się coraz słabszy, a nielitościwy starzec krew moją wciąż toczył i toczył...

Według mojego obliczenia starzec musiał mi pewnie z kilka funtów krwi już wytoczyć. Chciałem się bronić, ale nie mogłem, bo wpływ krwi pozbawił mnie sił zupełnie; powoli zapadałem w omdlenie, powieki mimo całego wysiłku z mojej strony zamykały mi się powoli coraz bardziej, aż wreszcie straciłem całkiem przytomność!

Gdy wreszcie otworzyłem oczy, zobaczyłem, że w pokoju było już ciemno zupełnie, że leżę w łóżku, a na małym stolyczku tuż obok mnie płonie świeca jasnym płomieniem. Rozglądałem się szybko po pokoju.

Był to nie tylko przyzwoicie, ale nawet bardzo elegancko urządzone kawalerski pokój, duży i zapewne w dzień widny.

Na dębowym stole, który stał w pośrodku, dostrzegłem zastawioną kolację zimną, złożoną z szynki, rostbefu, kurcząt, owoców, sera i butelki ciężkiego lecz posilnego portweinu.

Ten widok obudził we mnie szalony głód, to też nie namyślając się wyskoczyłem z łóżka i z młodzieńczym apetytem zacząłem szerzyć straszne dzieło zniszczenia wśród nagromadzonych zapasów, przerywając je tylko czasem dla przeplukania sobie gardła portweinem.

No! na wikt niepotrzebowałem się skarżyć!

Najadłszy się do syta pomyślałem przedewszystkiem, o tem, która to może być godzina. Niestety nie miałem zegarka, więc też musiałem skwitować z mych żądań nie mniej jednak, byłem przekonany, że do nocy musi być jeszcze wcale daleko.

Spojrzałem w dwa duże weneckie okna i dostrzegłem w nich takie same żaluzje, jakie poprzedniego dnia przed zakradnięciem się do tej willi widziałem we wszystkich jej oknach.

Szybko podniosłem jedną żaluzję i aż krzyknąłem z radości, bo przez okno wdarły się do mego pokoju promienie zachodzącego słońca. W tej samej jednak chwili radość moja zmniejszyła się znacznie, zobaczyłem bowiem w oknie gęste stalowe kraty!

Nierobiłem sobie jednak nic z tego, obejrzałem drugie okno i przekonawszy się, że jest także zakratowane, przyprowadziłem mą toaletę do porządku i postanowiłem pójść do ogrodu otaczającego willę, aby użyć choć trochę przechadzki.

Zaledwie jednak nacisnąłem klamkę, poznałem, że drzwi pokoju były zamknięte na klucz. Byłem zatem uwięziony!...

V.

— Powiadam panu, niema pan pojęcia, jak ja żałuję naszej panienci! Taka młoda, taka ładna, taka wykształcona, a tak cierpieć musi biedaczka!...

— Hm! prawda to, ale przyznam się, że chciałbym coś więcej dowiedzieć się o tem wszystkim mój przyjacielu, zwłaszcza, że to mnie także coś obchodzi, skoro ja moja własna krew podtrzymuje przy życiu!

— Owszem! To, co mi wolno powiedzieć zaraz panu opowiem!...

Tak rozpoczęła się moja rozmowa z Franciszkiem, służącym tajemniczego starca podczas przechadzki w parku otaczającym willę, w chwili, gdy właśnie zapalałem sobie jedno z pysznych cygar hawańskich, które miałem teraz w dowolnej ilości do dyspozycji.

Odebrano mi wprawdzie wolność, ale odebrano także troskę o jutro. Wszystkiego miałem podostatkiem, na niczem mi niezbywało, a że do więzienia byłem już przyzwyczajony, więc i z utratą wolności pogodziłem się bardzo szybko.

Towarzyszył mi, a raczej strzegł mnie ów olbrzym, będący w służbie u tajemniczego starca, który starał się mnie zabawić swą rozmową. Nie pogardzałem ani jego towarzystwem, ani jego rozmownością, bo przecież bądź co bądź zależało mi na tem, aby dowiedzieć się jakichkolwiek szczegółów o moim obecnym władcy, tembardziej, że bawiąc w tej willi już od czternastu dni i dawszy sobie już po raz drugi zabrać potrzebną starcowi ilość krwi, chciałem poznać jego przeszłość i chorobę jego córki.

Ale dotychczas Franciszek był zawsze bardzo ostrożny. Mówił o wszystkim, ale zbywał mnie milczeniem, gdy zaczynałem mu stawiać na ten temat jakieś pytania.

C. d. n.